Nr. 51. We Lwowie dnia 17. Grudnia 1899. Rok 7.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

31)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Podróż naszą, poczynając od Bułuna, odbywać musieliśmy konno, jadąc na reniferach, albowiem w tych szerokościach geograficznych, gdzie z powodu braku paszy dla koni i bydła hodowla zwierząt rzeczonych jest niemożebną, tam tylko renifer towarzyszyć zdoła człowiekowi w podróżach, dźwigając przytem jego samego i dobytek jego cały, on też jedynie z pomiędzy większych zwierząt przeżuwających karmić się potrafi lata całe mchami i liszajami, nie potrzebując nad ten pokarm żadnego innego, lecz obok tych zalet ma on jeszcze jedną nieocenioną, a mianowicie tę, że przebywając w krainie prawie ciągłych deszczów i mgły bezustannej podczas lata, zaś mrozów srogich w czasie zimy, nie traci nic na siłach żywotnych, lecz przeciwnie, one się w nim nawet wzmagają na północy, staje się on bowiem tutaj bardziej płodny i wytrzymały, niż to ma miejsce w okolicach, leżących u południowej granicy jego rozmieszczenia geograficznego. Bacząc na te wszystkie właściwości renifera, byłoby do życzenia, ażeby otoczono opieką praw odpowiednich to zwierzę tyle pożyteczne i tak niezbędne dla mieszkańców północy, i ażeby z drugiej strony użyć chciano wszelkich środków właściwych dla celów jego hodowli umiejętnej. Jeżeli w kierunkach wskazanych zmiana rychło nie nastąpi, to przy warunkach, jakie dzisiaj panują na północy, łatwo przewidzieć można, że renifery wytępione zostaną i to w stosunkowo prędkim czasie, a wtedy mieszkańcy tamtejsi zmuszeni będą cofnąć się na południe i wszelkie już podróże w strony dalekiej północy staną się niemożebnemi.

Z uczuciem szczerej sympatji ku naszym wierzchowcom, uczuciem, jakie zwykle budzi widok tych łagodnych, cichych, dobrych i posłusznych zwierząt w każdym prawie człowieku, przypatrywaliśmy się oryginalnej manipulacji Jakutów przy łowieniu, siodłaniu i objuczaniu reniferów, i w ten sposób braliśmy pierwszą lekcję poglądową w celu nauczenia się sztuki jeżdżenia na przyszłych naszych niezwykłych wierzchowcach.

Jazda na reniferach jest w pewnej mierze nauką gimnastyki, a zarazem i sztuką woltyżerską, wymaga ona zręczności, wprawy, a szczególniej ścisłego przestrzegania prawideł, zdobytych i utrwalonych wiekami doświadczenia, sięgających zaś swoim początkiem najprawdopodobniej aż epok lodowcowych; prawideł tych teoretycznie uczyć się nie można, nabywa się je praktycznie, obserwując i naśladując jadących tubylców.

Cała uprząż, następnie siodło, sposób nakładania jego i podpinania, etc., słowem to wszystko, co ma związek z jazdą konną na renach, jest tak doskonale zastosowane do natury tych zwierząt, że o żadnej innowacji mowy tu być nie może. Lekceważenie, z jakiem się często odnoszą do narzędzi i sprzętów ludów niecywilizowanych świadczy tylko o tem, że nie umiano zbadać i poznać warunków życia tych ludów.

Steller, opisując nartę Kamczadalów, wypowiedział zdanie, że ona jest arcydziełem, które wytworzyć tylko mogły całe wieki doświadczenia; to samo rzec można i o rynsztunku na renifera. Jakuci, przyjąwszy wszystko gotowe od autochtonów północy, nic nie zmienili, trzymają się oni ściśle pierwowzorów i przekazują je z pokolenia w pokolenie.

Dla Europejczyków jazda na renach zdaje się być wielce uciążliwą, bo nie przywykli oni do tego rodzaju wierzchowców, małych, słabych, trzymających nisko głowę i niepokojących jeźdźca swoimi rogami, obok tego nie ła-

two się przyzwyczaja Europejczyk do siodła bez strzemion i do siedzenia na niem z wyciągniętemi po przed siebie nogami po kolana, zaś od kolan bujającemi swobodnie u szyji wierzchowca; atoli mus konieczności wszystko pokonać zdoła, tak że już po krótkim stosunkowo czasie, każdy z nowicjuszów nabiera wprawy dostatecznej, ażeby mógł odbywać drogę, nawet i daleką.

Siodło reniferowe jest bardzo proste, składa się ono z dwóch deseczek, ku przodowi rozszerzonych, obszytych materacykami i połączonych ze sobą po nad grzbietem wierzchowca spojeniami rzemiennemi. Siodło umieszcza się na przodzie renifera, a to z powodu słabych więzów jego stosu pacierzowego, nie podpina się go mocno, lecz tylko podwiązuje leciutko, służy ono przytem nie tylko do siedzenia, ale także do oparcia nóg po kolana, trzymając je prawie w horyzontalnem położeniu, w taki tedy sposób siedzący jeździec nie obejmuje nogami wierzchowca, lecz podnosi je wysoko, a stąd pozycja cała jadącego staje się wielce chwiejną i z tego też powodu troszczyć się on ciągle musi o to, ażeby utrzymać równowagę na ruchomem siedzeniu. Niewprawnym i początkującym daje się do rąk długie pałki, ażeby przy ich pomocy mogli znaleźć potrzebne oparcie na ziemi, gdy go nie mają na siodle; pałki ułatwiają także wskakiwanie, przy wsiadaniu i zeskakiwanie z renifera, przy zsiadaniu z niego. Jakuci północni i Tunguzi, będąc przyzwyczajeni od dziecka do jazdy na reniferach, nabierają niezmiernej zręczności i wprawiają nią w podziw każdego obserwatora, szczególnie zaś wtedy, gdy w pełnym biegu zjeżdżają po pochyłościach górskich, a przed nimi, jak gdyby potok jaki, pędzą i sypią się kamienie, strącane kopytami mknących naprzód reniferów. Wprawny jeździec na szybkonogim renie wygląda jak woltyżer w cyrku; patrząc na jego ruchy, gdy wierzchowiec sadzi po skalistej, nierównej drodze, można śmiało użyć wyrażenia Czekanowskiego, który powiadał w takich wypadkach, że jeździec tamtejszy ideą tylko trzyma się siodła, a siodło renifera.

Gdy obóz nasz ruszył z miejsca, szliśmy za nim wiorst parę pieszo, zanim zdecydowaliśmy się dosiąść naszych wierzchowców. Zdawało się nam z początku, że te małe i pozornie słabe zwierzęta unieść nas nie będą wstanie, ale raz wsiadłszy na nie, przekonaliśmy się o ich sile, oswoiliśmy się prędko z nimi, a naśladując we wszystkiem naszych towarzyszy Jakutów, raźno posuwaliśmy się naprzód, wstępując na coraz wyższe wzgórza, stanowiące rozdział wód pomiędzy rzekami Ajakit i Czongokor, wpadającemi do Leny. Po całodziennym marszu stanęliśmy na nocleg w pobliżu zagajenia świerkowego, składającego się z nikłych drzewek, jakie się w tych okolicach napotykają tu i ówdzie, tulące się do ziemi po zacisznych dolinach, zakrytych przed wiatrami północy. Spaliśmy w namiocie skórzanym, na posłaniu z mchu, kryjąc się przed wilgocią w futra niedźwiedzie.

KAROLINA ŚWIETLA.

RUSAŁKA.

(Ciąg dalszy.)

Pradziadek, zdjęty zgrozą, chciał uciekać, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, jak gdyby miał nogi ołowiem nalane. Domyślił się, że lasem pędzi „szczwanie“ i kieruje się w tę stronę, gdzie on stał właśnie bez tchu i życia, niby skamieniały.

Wtem gałęzie rozchyliły się, i z gąszczy wypadła z szybkością strzały dziewica, w złocisty płaszcz od stóp do głowy otulona, nie był to jednak płaszcz, tylko jej włosy powiewne, które świeciły w zamierzchu, niby szczerozłote.

Leciała, mknęła, a pradziadek słyszał, że tchu już nie ma w piersi, — widział, że nogi pod nią się uginają, a po zbladłych licach krople łez sypią się, niby perły. Nagle ujrzała pień, krzyknęła i uchwyciła się go z całej siły obu rękami. Był wielki czas: w ślad za nią pędziła z przeraźliwem wyciem, niby wicher niszczący, zgraja potwornych psów, o płomiennych paszczach i oczach, miotających iskry. Psy jednak nie widziały już jej teraz, bo rusałka siedziała na pniu, który naznaczyła trzema krzyżami ręka tego, co ściął drzewo.

— Uratowałeś mi życie! — zwróciła się rusałka z żywą wdzięcznością do swego zbawcy, gdy zgraja psów wraz z burzą zniknęła w oddali. — Gdyby nie ty, potworne psiska byłyby mię rozszarpały. Powiedz-że mi, czego chcesz wzamian odemnie, a spełnię każde twoje żądanie.

— Chcę, abyś została moją żoną, — odparł pradziadek bez namysłu, żadna bowiem dziewczyna nie wydała mu się nigdy tak cudną, jak ta rusałka o pysznych włosach złocistych.

Rusałka westchnęła głęboko. Stanęły jej przed oczyma siostry, z któremi lubiła igrać i figlować po lesie, wieńczyć czoło paprocią i liljowemi dzwonkami, spijać perlącą się na kwiatach rosę — stanęło jej przed oczyma całe życie dotychczasowe, urocze i wolne... Miałaż się go wyrzec na zawsze? Miałaż odtąd służyć mężowi i chować dzieci, jak każda inna kobieta? — Nie było jednak rady: dała z góry słowo, musiała go dotrzymać.

— Uczynię, jako chcesz — odrzekła smutnie. — Zastanów się jednak dobrze, nim mię

Zaraz na pierwszym noclegu postanowiono rozdzielić nasz obóz na dwie partje, ażeby w ten sposób zyskać na czasie, potrzebnym na robienie wycieczek w strony i ażeby wierzchowce, na których mieliśmy jechać, mogły być codziennie zmieniane. Jedna partja z całym ciężkim bagażem, czterema przewodnikami, pod dowództwem kozaka, występowała z samego rana w podróż, dążąc do oznaczonego przez przewodników miejsca noclegowego, druga partja, złożona tylko z trzech osób, Czekanowskiego, mnie i przewodnika, i trzech reniferów, pozostawała na miejscu, zkąd odbywaliśmy wycieczki bądź pieszo, bądź na reniferach, zajęci zbiorami, a Czekanowski obserwacjami geologicznemi; dopiero o południu dosiadaliśmy naszych wierzchowców i spiesznym krokiem, zatrzymując się tylko w miejscach najbardziej interesujących, pędziliśmy naprzód, ażeby jeszcze przed nocą stanąć u obozowiska, gdzie już zastawaliśmy gotowy namiot, obiad i herbatę, które stanowiły zarazem i naszą wieczerzę.

W ciągu czterech dni z rzędu przechodzimy okolicę wielce oryginalną, zwaną albo wprost „golcami“, albo „Tundrą golcową“. Cała przestrzeń jest tutaj pokryta wzgórzami, mającemi kształt olbrzymich, płaskawych kopic siana, stojących osobno i nie połączonych ze sobą, porosłe są one mchem reniferowym i pozbawione prawie wszelkiej innej roślinności; gdzieniegdzie i to w zakrytych miejscach tylko znajdowaliśmy zmiarniałe modrzewie, dziwacznej formy; pień takiego drzewka, mający niekiedy kilka łokci długości, ściele się po ziemi jak kosodrzewina, kryjąc się całkowicie w mchu, który go obrasta dokoła tak, że tylko sam wierzchołek drzewka wychyla swe gałązki ku światłu dziennemu.

Przeszedłszy liczne źródła, dające początek drobnym rzeczkom „Czongo“, „Ulekułach“ „Bustach“, dochodzimy 4. sierpnia do pierwszej większej rzeki na naszej drodze, zwanej „Atyrkan“; w tem miejscu przekraczamy granicę golcowej tundry i wstępujemy na tundrę właściwą, zwaną „wielką północną“. Tu mamy widok, przypominający widok stepu, tylko, że tam tętni życie, tutaj zaś panuje martwota zupełna, zamiast kobierca z każdym powiewem wiatru falujących traw i roślin kwiatowych, mamy sztywny, nieruchomy całun mchów, blado zielonawych po deszczu, szarawo-białych przy suchej pogodzie. Taką samą prawie barwą świeci i niebo na północy, błękitu nie ma ono tu nigdy, przynajmniej w porze jesiennej. Spojrzawszy ku krańcom horyzontu, widzimy zlewające się ze sobą bladawe barwy nieba i ziemi w jeden smutny, szarawy koloryt. Wśród tej jednostajności otoczenia i oświetlenia cisza panuje grobowa, żaden śpiew, świergot ptaka, żaden głos zwierzęcy nie przerywa milczenia tundry, jak żaden cień nie ściele się na jej posłaniu grobowem, bo w tej krainie wiecznego smutku i ciszy, jak ją słusznie nazwać byłoby można, życie wszelkie zdaje się zamarłe. (D. c. n.)

---

ztąd zabierzesz do swego domu. Nie jestem w niczem do zwykłych śmiertelniczek podobna i bardzo być może, że nawyknienia moje razić cię będą. Pamiętaj jednak, że odejdę cię natychmiast, jeżeli kiedykolwiek zrobisz mi zarzut z mego pochodzenia, — a dom twój opuszczając, wezmę ze sobą, co masz najdroższego. Takie już jest prawo między nami.

Pradziadek przysiągł, że będzie ją szanował po wszystkie czasy, jak gdyby ta sama ludzka krew w niej płynęła, co i w jego żyłach, a na drugi dzień rano cała Świetla podziwiała śliczną żonę, którą sobie przyprowadził z lasu.

Cudna krasa była jednak rzeczą jedyną, której ludzie zazdrościli mu w żonie. Rusałka nie mogła w żaden sposób nawyknąć do naszego życia, ani do naszej pracy: wszystko jej się plątało w ręku, nie wiedziała, co do czego należy. Sąsiadki brały się za boki, patrząc na nią, a sąsiedzi nie mieli dość słów nagany dla pradziadka, że wziął sobie gospodynię, która go wnet do żebraczego doprowadzi kija.

Pradziadka gryzły przepowiednie sąsiadów, nie dawał jednak poznać tego po sobie, starając się nieznacznie wpływać na żonę, aby więcej dbała o swoje obowiązki, a czego wykonać nie potrafiła, to sam robił za nią pokryjomo w nocy, aby oszczędzić jej drwin sąsiadek, miłował ją bowiem wciąż niemniej gorąco, jak wówczas, gdy ujrzał o zapadającej nocy po raz pierwszy w lesie.

Tymczasem zaszła rzecz nieprzewidziana. Pradziadek wracał pewnego razu do domu po dłuższej nieobecności. Było to w dzień świętego Jana Chrzciciela. Zboże w górach stało właśnie w najpiękniejszym kwiecie. Wtem, zaledwie wkroczył do wioski, sąsiedzi wybiegają na jego spotkanie.

— Ha, zwinną masz gosposię! — wołali drwiąco — myśmy zaledwie zasiać zdążyli, a ona już ścięła zboże. Im więcej krzyczeliśmy na nią, tem bardziej nagliła żniwiarzy do pośpiechu, aby dać czemprędzej plon do stodoły. Wracasz właśnie na dożynki!

Pradziadek własnym uszom nie chciał wierzyć, sądząc, że ludzie żartują sobie z niego. Gdy zbliżył się jednak do swego obejścia, zobaczył dokoła szeroko ciągnące się ścierniska, a przed chatą stała żona i podawała mu już zdaleka synaczka, który się był urodził podczas jego nieobecności.

W sercu pradziadka umilkła jednak nagle miłość, stłumiona szalonym jej postępkiem.

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

LENORA.

4) **(Na temat Bürgera).**

— Chora — wyzyskałam tylko twą pracę, siły i zdrowie — i tyś już prawie zachorzał. Pełna nieszczęścia i niepokoju — zanieciłam nieszczęście i niepokój w twej wielkiej, twej cichej duszy... Ja tylko zabierać, rujnować, niszczyć na drodze swej potrafię, ale nie uszczęśliwiać, nie obdarzać radością, nie rozjaśniać czyjegokolwiek bądź życia. Opuść mnie więc, uciekaj — póki cię jeszcze nie zabiłam do reszty! Pozostaw mnie temu, do którego należę. On żyje — i słyszy nas w tej chwili, choć tobie i ludziom się zdaje, że umarł. Żyje, czuwa nademną... Czyha na mnie!

Z głuchym jękiem przyciska dłonie do czoła — i znowu potok słów z oddechem rwącym się, przyśpieszonym wybiega na jej usta.

— Kochałam jego tylko — i kocham dotąd takim, jakim był niegdyś, przed strasznym swoim końcem. Szlachetnym, dobrym i pięknym był — i pełnym świeżego życia — jak burza młodej wiosny. I jako burza ta cudna otrząsa pierwsze kwiaty — porwał i uniósł serce moje. I mawiał wtedy do mnie: „jeśli spostrzeżesz, że miłość twoja zaczyna blednieć i gasnąć — powiedz mi, a wyrzeknę się ciebie, chociażbym się wił z rozpaczy. Nie chcę ofiary i poświęcenia — chcę ognia a nie popiołów! Chcę darzyć po królewsku, sam po królewsku obdarzony.“ A potem tak szybko, tak nagle naleciało straszliwe nieszczęście. I ciało jego i dusza, gorejąc w ciągłych cierpieniach — ciemniały wciąż, łamały się, zmieniały w oczach mych do niepoznania... I wtenczas miłość ma stała się — litością już prawie, litością rozdzierającą, bezbrzeżną. A potem nastąpiły ohydne... ohydne chwile! gdy ja wobec ciała tego, rozkładającego się już za życia, wobec rozkładu tej duszy, miotającej się w rozpaczy... czułam czasami i wstręt, i strach bez granic! Przy nim, jedynym moim! przy nim, ubóstwianym. Jam go nie poznawała już więcej. Czuwając nad nim, widziałam w nim w ostatnich strasznych chwilach jakiegoś chciwego skąpca obcego, który — konając nawet — nie wypuszcza jeszcze z rąk skarbu. Tym skarbem jego ziemskim — ja byłam i nie chciał mnie on oddać nikomu. I groził mi tak strasznie i błagał mnie wstrząsająco, bym pozostała mu

---

— Pójdź precz z moich oczu, przeklęta kobieto leśna! — zawołał zamiast powitania.

Rusałka stanęła, niby piorunem rażona. Twarzyczka jej zaczęła raptownie blednąć, postać stawała się coraz przeźroczystsza, aż rozpłynęła się bez śladu wraz z niemowlęciem w białą mgłę...

Tej samej nocy straszny grad wybił w całej okolicy zboże na łanach do ostatniego kłoska. Ludzie płakali i lamentowali, aż żal było słuchać: nie wiedzieli, jak zimę przebędą.

Ale gdy pradziadek otworzył stodołę, aby wyrzucić z niej zielone zboże, złożone tam przez żonę, osłupiał ze zdumienia. Snopki piętrzyły się, jeden ponad drugim, żółte, jak złoto, a kiedy zaczął je młócić, ziarno sypało się stokroć obficiej, niż w zwykłym porządku rzeczy, tak że mógł niem obdzielić całą wieś.

Teraz dopiero ludzie zrozumieli, jak wielkie dobrodziejstwo rusałka im wyrządziła, i jęli gorzko opłakiwać jej zniknięcie. Najbardziej rozpaczał pradziadek, lecz żal jego był nadaremny: rusałka nie wróciła już nigdy pod jego dach. Na pamiątkę jednak, że była mieszkanką Świetli, ochrania naszą wieś, jakoż od tego czasu grad nie wyrządził u nas ani razu szkody. W tem miejscu zaś, gdzie zniknęła na zawsze wraz ze swojem dzieciątkiem, wyrosła ta oto lipa, pod którą teraz właśnie siedzimy.

Hrabia spojrzał na lipę, ale uczynił to dla tego jedynie, że Ela na nią wskazywała, poczem znowu utonął wzrokiem w obliczu dziewczęcia.

— Czemuś wybrała tę właśnie legendę? — zagadnął proboszcz. — Wszak umiesz ich mnóstwo daleko piękniejszych i bardziej zajmujących.

— Żadna inna nie przychodziła mi na myśl, — odparło dziewczę, podnosząc zamyślone oczy na młodziana.

Temu jednak bajka jej podobała się niesłychanie.

— Pradziadek twój zasłużył, aby cudna żona go odeszła wraz z tem, co miał najmilszego, — dowodził z zapałem — wszak z góry mu to przepowiadała. Czemuż był takim niewdzięcznikiem? Czemu miał pamięć tak krótką?

I dorzucił jeszcze wiele pochlebnych, słodkich słów o tem, jak ślicznie Ela umie opowiadać, ciesząc się głośno, że usłyszy nie jedną jeszcze bajkę z jej ust nim odjedzie.

— Wydajesz mi się, dziewczę, uosobieniem poezji, — rzekł w końcu.

A Ela nie obraziła się teraz wcale, że tak ją nazwał. Z wyrazu jego twarzy odgadła, że

wierną, że nawałnica tych gróźb i błagań, tych spojrzeń, to klnących, to żebrzących — tych szałów odlatującej już duszy i tych miotań się... cuchnącego już ciała — w przepaść mnie pogrążyły, w tę przepaść ciemną, z której dwa lata próbujesz mnie wyciągnąć — w przepaść... innego świata!... Nie wiem, czy tylko „on“ jeden posiadł moc podwójnego żywota przez wielką miłość dla mnie i dla żywota ziemskiego: czy inni także tę samą moc posiadają i tylko gardzą ziemią z nadziemskich swych wyżyn? Wiem tylko, że kiedy zechce — obcuje ze mną. Obcował dawniej ciągle, nieustannie! Teraz, jak niby zagniewany, i groźny, i mściwy — rzadziej przybywa w odwiedziny... I widzę „go“ i słyszę. I lękam „go“ się, jak ciemna tłuszcza lęka się bajecznych nieboszczyków! Drżę przed „nim“ — tem jasnem słońcem niezapomnianej przeszłości. Wydaje mi się, że dłoń jego zimna wciąga mnie w jakieś nurty bezbrzeżne innego świata, nie objęte śmiertelnem mem okiem. I dusza moja, ta jeszcze ziemska dusza moja — wzdryga się w obecności przeobrażonej śmiercią, wszechwiednej, bezbrzeżnej duszy jego — jak drżałoby ciało moje od dotknięcią martwego ciała. Progiem, który nas dzieli — śmierć moja. Gdy go przebędę — ustanie może strach mój i boleść — i wrota szczęśliwości otworem dla nas staną.. Lecz teraz już nie posiadam spokoju waszej nieświadomości, ale i nie posiadam, tak jak on, wszechwiedzy świata tamtego. Zalękła, drżąca, złamana i samotna, stoję na dzikiem jakiemś rozdrożu — pomiędzy nim a wami!... A teraz — opuść mnie natychmiast! Teraz już pragnę sama, żądam tego!... Nie chcę, byś cierpiał w mych oczach, gdy cierpieniom twym ulżyć nie mogę... Ty zaś... tyś się pozbawił prawa — ulżyć moim, gdyś odkrył mi duszę twoją... Dzięki za wszystko — coś uczynił... Daj mi dłoń ucałować, pozwól! — i odejdź!

— Lilijko moja złamana, jaskółeczko moja ranna, sarenko moja przestrzelona!

Nizkie, melancholijne dźwięki jego głosu brzmią nieprzebraną czułością i rozpływają się w żalu namiętnym...

— Zostawaj w spokoju!

Cichną powolne, ciężkie, chwiejące się kroki. Rozmijają się z niemi szybkie, lekkie i pewne.

— Mateczko! on odszedł już na zawsze?! Na zawsze? Och... bo on chciał zostać przy mnie na zawsze! — szepcą bolesne, blade usta.

Drżące ramiona oplatają szyję matczyną, rozpaczliwe łkanie rozlega się w cichości.

— Odszedł! a „on“ przybędzie!

III.

Na białem tle posłania ciemne, splątane pierścienie rozpłyniętych warkoczy — okalają bladą twarzyczkę niby fantastyczny wieniec cierniowy. Zdaje się być uśpioną. Przenikliwy, ale znużony wzrok matki bada jeszcze przez chwilę spokojne już na pozór, wypogodzone w cichym śnie rysy. Złudzenie prawdy zdumiewające. To też pogoda i spokój wybijają

---

ta poezja to musi być coś bardzo pięknego, bardzo wzniosłego i słuchała potoku jego słów z takiem uczuciem, z jakiem przysłuchiwała się nocką ciemną zawodzeniom słowika, który się gnieździł w krzaku dzikiej róży tam poniżej, — u Gąsienniców.

Proboszcz już był odszedł ze swym wychowankiem, a rusałka wciąż jeszcze siedziała pod lipą. Dziś jednak bajki najcudniejsze szumiały nadaremnie w drzewie, Ela ich nie słyszała; dziś własne serce bijące opowiadało jej baśń tęczową, która nie przyszłaby nigdy na myśl starej lipie. To też szanowna staruszka straciła od tej chwili bardzo wiele w jej oczach.

* *
*

Na drugi dzień hrabia przyszedł znowu pod lipę w towarzystwie byłego opiekuna. Dreszcz nim wstrząsnął od stóp do głowy, gdy ujrzał Elę, — ona zaś sądziła, że padnie bez życia, tak gwałtownie uderzyły ją w samo serce jego oczy.

Tym razem Ela mówiła o grobie kochanka. Opowiadała tę bajkę ze sto razy może przedtem, nie wzruszając się jej treścią, dziś jednak łzy trysnęły jej nagle z oczu, gdy doszła do miejsca, w którem osierocona dziewczyna płacze tak rzewnie nad grobem oblubieńca, że z rozsypującego się w proch jego serca wyrastają trzy młode pędy rozmarynu i koją jej rozpacz ustami zmarłego.

— Nie mądra, naprawdę, z ciebie dziewczyna! — zgromił ją proboszcz i jął żartować, że szlocha bez powodu. Hrabia milczał, Ela jednak, choć zakrywała sobie oczy fartuchem, dobrze widziała, że zbladł, jak płótno.

Odszedł z proboszczem, ale przez całe popołudnie był jakiś nie swój, przy wieczerzy nic prawie nie jadł i wstał rychło od stołu, skarżąc się na ból głowy. Zamiast jednak pójść do swego pokoju, aby przespać ów ból, wymknął się z plebanji lisim krokiem i poleciał pod lipę.

Jakby wiedział, że zastanie tam Elę: siedziała na tem samem miejscu i wciąż jeszcze zakrywała oczy fartuszkiem. Młody pan przysunął się do niej i drżącemi rękami odjął jej dłonie od twarzy. — Jaka szkoda, że lipa zaczęła w tej chwili właśnie szumieć i gniewnie potrząsać konarami, nie można więc było ani dojrzeć, ani podsłuchać, co się dalej działo. Domyślam się jednak, że opowiadali sobie wzajemnie — bajki.

(Dok. nast.) Tłum. *M. W.*

się coraz wyraźniej na smutną twarz kobiety, a sen zagląda coraz to natarczywiej do tych wyblakłych oczu, w których oddawna już tylko blaski łez gościć mogły. Jeszcze chwila oczekiwania, jeszcze parę spojrzeń badawczych i oto podnosi się z miejsca, wstrzymując oddech — i, stąpając na palcach, oddala się w głąb pokoju.

Komedja więc skończona. Wielkie otwarte źrenice, dziecinnie przerażone — niby pisklęcia spadającego z gniazda — odprowadzają cichy cień matki. Pokrywają się jednak spiesznie powieką — i pozostają zamknięte, dopóki lekki szmer w głębi nie ustaje i cichy oddech śpiącej nie rozlega się w przyciemnionym pokoju. I wtenczas znów te ciemne, wielkie oczy zakreślają błyskawicę płomienną w mrokach, dzierżganych gdzieniegdzie światłem miesięcznem i nikłym blaskiem przysłoniętej lampki. Z białego łoża porywa się gwałtownie przecudna postać dziewicza — i, przyklęknąwszy, otula się z pośpiechem w szerokie, ciężkie fałdy płaszcza, zawieszonego na poręczy. I tak schylona, korna, drżąca na całem ciele, na klęczkach, zamiera w oczekiwaniu.

Oto potężny i dziwny jakiś powiew, niby wielkich skrzydeł puszystych i lekkich i niby ogromnych rozkołysanych gałęzi, kapiących kwiatem — raptownie gasi nikłe światełko sztuczne.

Przy samem uchu klęczącej rozlega się głęboki, cichy głos.

— Na ziemi godzę się tylko na słońce lub na księżyc. Widzę cię jednak nawet i w mrokach najgłębszych... Nareszcie jesteśmy sami. I ty drżysz znowu, bo „upiór“ przyszedł do ciebie, „widmo,“ „strach nocny“, nieboszczyk!“ Cha, cha, cha! A wtenczas przemawiałaś — jak „biała gołąbka“: „Nie wierzę, abyś mógł umrzeć zupełnie! duch twój przemoże śmierć twoją! dusze nasze poślubią się i porozumieją się zawsze i wszędzie!“ Gdy zaś naprawdę, silny miłością i wolą, duch mój się otrząsł ze zgniłej ziemskiej powłoki — i zakosztował górnego życia duchów górnych, przykułem go znów do ziemi tą samą wielką potęgą olbrzymiej miłości mojej. Nowe swe życie oddałem znowu tobie, do gliny ziemskiej przykutej! Ale ty tylko glinianego człowieka pojąć i kochać możesz! Musisz oglądać go, dotykać i słyszeć, lecz wyzwolonego, swobodnego ducha — ty odczuć nie potrafisz! Więc dusza twoja już nie wyciąga ku mojej ramion spragnionych, ale się kurczy w strachu nikczemnym, jak nędznie naiwna duszyczka wiejskiej dziewuchy, gdy straszą ją widmem topielca!.. Serce twe ściska się śmiertelnie i boli... Cierpisz! Och, jakże cierpisz! Bo ja przecież czuję najdrobniejsze cierpienie twoje! Ty, cudny raju mój przyćmiony! Nie trwóż się, nie drżyj, nie rozpaczaj! błagam cię, wybacz ognistą gorycz wyrzutów moich! Jam winien — tyś niewinna. Wymagam od ciebie mocy nadczłowieczeństwa, którą śmierć tylko daje!... Nie chcę, ażeby odleciał ku mnie duch twój, stargany męką. Zwolna, pogodnie, na białych skrzydłach tęsknoty i rozmarzenia, podąży on za wybranym. Nie chcę — by twe przepiękne ciało wiło się w męce, każdy nerw targał się i naprężał, a krew burzliwym płomieniem rozsadzała ci serce. Nie lękajże się, nie lękaj! zaklinam cię na przeszłość naszą błogosławioną! „Lilijko moja złamana, jaskółeczko ranna, sarenko przestrzelona moja!“... Silny i mocny — nie mam sił rozstać się z tobą! Wytęskniony, rozmiłowany — nie mogę cię opuścić: O zlitujże się nademną! Odczuj i poznaj ukochanego twego! (C. d. n.)



Szkice z nad Niewiaży.

16)

Jeżeli nauczyciel nie może przetłumaczyć jakiego wyrazu rosyjskiego po litewsku, to w tym wypadku pomagają mu lepsi uczniowie grup starszych. Gdy pierwsze lody przełamano i uczeń zaczyna choć nieco mówić, wówczas nauczyciel natychmiast uczy go poznawać litery rosyjskie. Metoda dźwiękowa, oraz litery ruchome stosowane są w każdej szkole, nauczanie czytania i pisania odbywa się jednocześnie. W ten sposób uczniowie w końcu pierwszej zimy zaczynają czytać po rosyjsku, chociaż bardzo powoli, według dwóch tekstów — rosyjskiego i litewskiego (ostatni drukuje się alfabetem rosyjskim).

W grupach średnich postępy uczniów w języku rosyjskim stają się większe; tu ćwiczenia w czytaniu odbywają się wyłącznie po rosyjsku;

powoli dzieci przyzwyczajają się do opowiadania niewielkich artykułów własnemi słowy, wówczas też zaczyna się doświadczalne nauczanie arytmetyki przy pomocy kamyków, patyków, bobów i t. d. W znacznej części szkół w grupach średnich znajdują się uczniowie, którzy dość dobrze czytają po rosyjsku, deklamują bajki, oraz wyjaśniają pojedyńcze słowa i całe zdanie z przeczytanego. Starsze grupy składają się z uczniów, którzy przebyli w szkole 2, 3, a czasem nawet 4 zimy. Uczniowie czytają po rosyjsku, chociaż nie bardzo prędko, ale swobodnie, myląc się czasami w akcencie. Zresztą niemożliwem jest wymagać, żeby dzieci chłopów litewskich, które słyszą język rosyjski tylko w szkole w ciągu kilku miesięcy w roku, mogły zachować zupełną ścisłość w oddaniu akcentu, tak trudnego w języku rosyjskim. Czytanie objaśniające praktykuje się we wszystkich szkołach; uczniowie uczą się na pamięć kilku bajek Kryłowa, oraz innych wierszyków. We wszystkich szkołach uczniowie piszą dyktando rosyjskie, jedni z niewielkiemi pomyłkami, inni zaś bez pomyłek; jednocześnie też układają oni małe opowiadania, rachunki, listy, opisy i t. d.

Oprócz nauki czytania i pisania, uczniom starszych grup na lekcjach języka rosyjskiego udziela się też nieco koniecznych wiadomości z ojczystej (rosyjskiej) historji i geografji, które w szkołach ludowych nie są wykładane oddzielnie. Rosyjski śpiew chóralny, posiadający wogóle ważne znaczenie, stanowi w tutejszych szkołach ludowych przedmiot nauki obowiązkowy. Śpiewu uczą nauczyciele miejscowi; jeżeli nauczyciel nie może go nauczać, to dyrekcja przysyła osobnego nauczyciela śpiewu, który wedle jej uznania odwiedza szkoły, ucząc swojej sztuki" *).

Warto nadmienić, że nauka śpiewów rosyjskich nietylko w szkole, ale i w wojsku i nawet na ćwiczeniach wojskowych pospolitaków odbywa się bardzo gorliwie; to też już dziś można słyszeć śpiew rosyjski na wsi, acz śpiewacy nie rozumieją ani słówka po rosyjsku. Stokroć częściej zdarza się to ze śpiewaczkami, zwłaszcza w okolicach miast. Wogóle motywy pieśni rosyjskich podobają się ludowi litewskiemu; mówiono mi, że niektóre dawne pieśni litewskie zaczynają już śpiewać na nutę rosyjską. I tak jest.

We wszystkich szkołach winna wykładać się religja, ale faktycznie wykłada się zaledwie w pięćdziesięciu kilku, t. j. prawie w trzeciej części, wszakże nie z winy księży; źródła urzędowe dodają, że księża za wykłady religji nie pobierają prawie nigdy wynagrodzenia. Wykłady te prowadzą się zwykle w językach macierzystych uczących się, albowiem uczący się nigdy nie osiągają takiego stopnia znajomości języka, jakiej należy wymagać do wykładów religji.

Od lat kilku we wszystkich szkołach ludowych odbywa się nauczanie gimnastyki: przed kilku laty gminy asygnowały na ten cel 4000 rub. Latem, w czasie feryj, sprowadzano nauczycieli ludowych do Poniewieża, lokowano w gmachu seminarjum, i w ciągu paru miesięcy uczono gimnastyki: w ten sposób zaopatrzono wszystkie szkoły w nauczycieli tego przedmiotu.

Próbowano zrobić szkoły ludowe popularniejszemi wśród ludu, czyniąc je do pewnego stopnia rozsadnikami podniesienia kultury materjalnej. W tym celu przy niektórych szkołach zaprowadzono praktyczną naukę sadownictwa i ogrodnictwa; corocznie kilku nauczycieli na koszt rządu posyła się do szkoły rolniczej w Piotrowicach na naukę ogrodnictwa i sadownictwa. W Poniewieżu, w ogrodzie seminarjum urządzono szkółkę owocową, z której szczepy rozdają darmo nauczycielom, zakładającym ogrody owocowe przy szkołach. Rozdają też darmo sadzonki i nasiona warzyw; są wyznaczone niewielkie nagrody pieniężne tym nauczycielom, którzy prowadzą ulepszone ogrodnictwo. Mimo to jednak lud jakoś nie garnie się do szkoły, pozostaje ona dotąd, jak i była, zupełnie obcą.

Myślano o wprowadzeniu nauki zręczności; pisano o tem i rozprawiano dużo, zachęcając gorliwie miasta i gminy do składania środków na tę naukę; pozostało to jednak w sferze życzeń pobożnych, bo nikt na to ani grosza złamanego nie dał... Skarb też nie dał... I rzecz pozostała w zawieszeniu.

Teraz słów parę o biblioteczkach szkolnych. Istniały one już od samego początku; początek im dał księgarz moskiewski, Syczew, ofiarowując w r. 1865 książek różnych na sumę 1650 rub.; potem nakazano gminom, żeby na ich pomnożenie dawały corocznie 10 rub. Kurator okręgu naukowego wileńskiego przysłał do tych bibljotek 2000 egz. »Książki do czytania w szkołach ludowych« oraz 500 egz. »Pszczoły«, 1000 egz. »Polskoj kriwdy i ruskoj prawdy« i dużo innych podobnych książeczek. By ułatwić włościanom nabywanie dziełek rosyjskich, w r. 1865 założono wiele składów książek, do których kurator okręgu naukowego oraz Towarzystwo ekonomiczne w Petersburgu przysłali książek za sumę 995 rub.; w r. 1867 założono jeszcze 8 składów. Oto, co o sprzedaży tych książek mówi sprawozdanie oficjalne za r. 1886: »Sprzedaż książek ze składów odbywa się niesłychanie powoli; nikt ich nie chce kupować. Nawet rodzice, przekonywani przez nauczycieli, żeby kupowali dla dzieci książki stosowne, odmawiali; zarządy gminne jak najobojętniej patrzyły na zupełny brak książek i podręczników w szkołach ludowych, chociaż były i takie, co nie posiadały ani jednego elementarza«. Wogóle w ciągu lat 20-tu, t. j. od 1870—1890 r. z tych składów sprzedano książek za 14.389 rub.; w czasach ostatnich roczna sprzedaż nie sięga nawet 500 rub.

Starano się ułatwić wszelkimi możliwymi środkami naukę szkolną; by umożliwić dziatwie

*) Księga jubileuszowa, str. 126—127.

regularne chodzenie do szkół, niekiedy oddalonych od miejsca ich zamieszkania, wielkorządca wileński w r. 1872 nakazał założyć t. zw. ogólne stancje uczniowskie, które dają uczniom pomieszkanie, opał i światło, a odzież i pożywienie winni mieć własne. Takich stancyj istnieje około 190, ale tylko... na papierze, bo w rzeczywistości nema ich chyba.

Wogóle należy zauważać, że dane urzędowe i statystyki szkolnej rozmijają się z rzeczywistością, n. p. ilość uczniów, wpisanych na listę szkolną, zwykle wskazuje się w statystykach urzędowych za ilość rzeczywiście uczęszczającą do szkoły, chociaż ta ostatnia zwykle stanowi około połowy pierwszej. Jeżeli włościanin potrafi przeczytać kilka wyrazów rosyjskich, lub podpisać swe nazwisko, to go zaraz zaliczą do osób, umiejących czytać i pisać po rosyjsku; jeżeli odpowie na kilka najprostszych pytań, zadanych w języku urzędowym, to go wnet wniosą do rubryki »władających mową państwową“. Obliczania podobne były przeprowadzone we wszystkich powiatach gub. kowieńskiej; ich rezultaty ogłoszono w urzędowych pamiętnikach gub. kowieńskiej. Stanowią one ciekawy dowód owocności nauczania, a wraz z innymi dowodami rzucają jaskrawe światło na kwestję rozpowszechniania się języka państwowego.

Tu na zakończenie słów kilka o szkołach żeńskich. Istnieje ich tylko 7, wyłącznie niemal dla córek »ruskich osiedleńców«, albowiem nasi włościanie tylko w wypadkach wyjątkowych oddają swe córki do szkółek rządowych; tak n. p. w r. 1892 w powiecie poniewiezkim, liczącym około 223.000 mieszkańców, było tylko 17 uczenic katoliczek w szkołach ludowych!

Szkół ściśle ludowych istnieje 162, a mianowicie: 155 męzkich i 7 żeńskich, ale oprócz nich istnieją jeszcze szkoły inne, niższe, podlegające dyrekcji szkół ludowych, mianowicie: szkoły miejskie dwuklasowe 3, powiatowa 1, parafjalnych 22, oraz 2 luterskie (w Kownie i Kiejdanach), 7 żydowskich, kilka prywatnych i t. d., słowem, 243 szkoły, w których poczet wliczono szkoły: mleczarską w Podgaju, gospodarstwa kobiecego w Poniemuniu i szkołę rysunkową w Kownie.

Pozostaje mi na zakończenie skreślić słów parę o szkołach prywatnych. Istnieje ich kilka, wyłącznie dla dziewcząt; utrzymywać je mogą tylko osoby, posiadające dyplom nauczycielski a wyznające prawosławje; to samo zastrzeżenie stosuje się do nauczycielek. Wyjątek — to szkoły dla żydówek, które mogą zakładać, i w których mogą uczyć żydówki, nauczycielki dyplomowane, ale nie wolno do nich przyjmować uczenic innego wyznania, krom hebrajskiego. Dla przykładu, czem są owe szkoły prywatne dla dziewcząt, zwykle subsydowane przez rząd, przytaczam historję jednej, otwartej przed kilku laty w Poniewieżu. Założycielką była p. Horbaczewska, nauczycielka dyplomowana; pobiera ona od rządu stałą a znaczną zapomogę, ale za to obowiązana jest ściśle trzymać się wskazówek dyrekcji szkół ludowych. Szkółka w Poniewieżu ma 2 klasy, każda z dwuletnim kursem; wykłada się w niej religja (tylko dla prawosławnych), język rosyjski wraz z cerkiewno-słowiańskim, oraz języki: francuski i niemiecki, początki arytmetyki, geografji, historji naturalnej, oraz historji Rosji, pod nazwą historji ojczystej; ten ostatni przedmiot wykłada się od pierwszego roku nauczania. O systematyczności i porządku wykładów mowy chyba być nie może; nie może być też mowy o kierunku wychowawczym, jeżeli nie nazwiemy tem mianem ustawicznego przekonywania uczenic, że są prawdziwemi Rosjankami, że prawosławje — to jedyna religja prawdziwa i t. d. Urządzano w tej szkółce wieczorki literacko-deklamacyjne dla uczenic, ale raczono dziewczynki tendencyjnymi utworami patrjotycznej muzy rosyjskiej, n. p. znany wiersz „Klewietnikam Rosji“ Puszkina.

(D. c. n.) *J. Syrokomla.*

Z pism i książek.

— Czesi umieją czcić pamięć wielkich swoich zmarłych. Grudniowy zeszyt „Ženskych Listů“, miesięcznika, redagowanego przez p. Eliszkę Krasnohorską, zaledwie objąć może sprawę z dowodów czci, hołdu, pamięci, które ogół niewiast czeskich śle poza grób wielkiej swojej Świetli. Korespondencje z prowincji omawiają uroczyste obchody, ku jej czci urządzane po miastach, z których dochód idzie na pomnożenie „Fundacji północno-czeskiej imienia Świetli“. Takie same uroczystości i w tym samym podejmowane celu, odbywają się w licznych stowarzyszeniach prazkich, którym przoduje, ma się rozumieć, „Žensky vyrobni spolek“, założony niegdyś przez Świetlę, dziś pozostający pod kierownictwem Krasnohorskiej. Wielbicielki zmarłej urządzają wystawy pamiątek po niej: dyplomów honorowych, adresów, rękopisów, darów honorowych zawsze na rzecz obrony zagrożonej mniejszości czeskiej na kresach. W Pojesztedzie zawiązał się komitet dla wzniesienia pomnika autorce u stóp gór, które uwieczniła w swych pismach, gdzie poznała „Kamieniarza“, „Nieboszczkę Barbarę“, Vendulkę, Antoniego Jirowca i innych bohaterów swych powieści. Zbiorowe wydawnictwa noworoczne pierwsze swoje kartki poświęcają Świetli i t. d.

W tymże zeszycie „Ženskych Listů“ mieści się sprawozdanie ze Zjazdu kobiet polskich w Zakopanem, skreślone z wielkiem ciepłem. *W.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.